

Nocleg w Apeninach

I oto rozbudzany od dwóch lat przez dyrektora Jana Tomaszewicza apetyt gorzowskich teatromanów na prawdziwą scenę letnią, został zaspokojony. Można by rzec, że nawet podwójnie, choć na konsumpcję lekkiej letniej muzy w pełnym architektonicznym i repertuarowym anturazie przyjdzie chyba poczekać do kolejnego lata, a może nawet dłużej.

A podwójnie, bo po pierwsze, oddana została profesjonalnie zrekonstruowana i wyposażona scena, z kurtyną w postaci olbrzymich drzwi rozsuwanych, dzięki którym poza letnim sezonem będzie mogła zamianić się w salę kameralną przeznaczoną do realizacji sztuk z mniejszą obsadą. Zaś po drugie, że na tę okoliczność teatr Osterwy przygotował premierę bardzo sympatycznej, w sam raz pasującej w tym miejscu i czasie, co prawda operetkowej raiotki „Nocleg w Apeninach”, ale za to autorstwa nie byle jakich mistrzów. Treść wymyślił, a może nawet przeżył i napisał w 1825 r., zaraz po powrocie z podróży do Włoch, Aleksander Fredro, a muzykę do niej ułożył w Berlinie, jeszcze studentem będąc, sam Stanisław Moniuszko. Wileńska prapremiera w 1839 r. nie przyniosła autorom sukcesu, podobnie lwowska dwa lata później. Być może ówczesna publiczność i krytyka dysponowała poczuciem humoru stosownym do czasów, w których żyć jej przypadło; być może od młodych autorów oczekiwano więcej cierpiętności, bożo-ojczyźnianej powagi. Dopiero po 130 latach od prapremiery, w 1969 r. z powodzeniem zagrał „Nocleg w Apeninach” Teatr Muzyczny w Gdyni, nota bene, dzięki Studium Teatralnemu Danuty Baduszkowej, inkubato-



Fot. archiwum teatru

rowi wokalnych i aktorskich talentów 90 proc. solistów gorzowskiej premiery. Kolejną polską realizację – w 1993 r. na inauguracji festiwalu fredrowskiego w Radomiu, zawdzięczamy już Janowi Skotnickiemu, który wyreżysero-

wał także gorzowskie przedstawienie. Stąd widać, jak rzadko ów „Nocleg...” miał szczęście gościć na polskich scenach, więc pewnie zasługa dwóch panów Janów i szczęście nasze, że rewitalizacja Sceny Letniej i zapo-

znanej polskiej operetki dokonana się jednego dnia – 1 lipca w Gorzowie.

Treść, jak w każdej zazwyczaj operetce prosta i banalna: trochę miłości, trochę złości, przebieranek parę, tudzież szarż pozorowanych, a wszystko dla uratowania nieszczęśliwej paniutki Rozyny granej i ładnie zaśpiewanej przez Joannę Rosse, sprzedanej przez opiekuna wraz z połową majątku, wrednemu staruchowi Fabricio (sugestywny, podejrzliwy, zazdrosny, dobrze dysponowany głosowo Cezary Żołyński). Wiózł ją ów drań z fałszywymi papierami, w których stało, że nasza piękniśka jest jego chorą umysłowo żoną (!), z Bolonii do Florencji dla dokonania wymuszonego szantażem ślubu i tylko dzięki burzy w Apeninach zatrzymał się na nocleg w zajeździe, którego właścicielem był Anzelmo (Marek Pudętko), przypadkowo wuj zakochanego w paniencie młodzieńca Antonio. Kłóży go miał zagrać i zaśpiewać, jak nie pierwszy amant gorzowskiej sceny, Artur Nełkowski? Akcja rautunkowa Rozyny, którą tenże rozpętał, wciągając do pomocy basą-barytona dwulicowca Bombalo, czyli wspaniałego w swojej roli Krzysztofa Kolbę oraz kuzynkę Lizetę w osobie subretkowo postawionej, świetnej w duetach i tercetach wokalnych Karoliny Miłkowskiej, skończyło się po myśli zakochanej w sobie pary. Zło zostało ukarane, a nielojalność na fali radosnego finału wybaczona.

Opowiedziałem pokrótce fabułę, bo nie w niej wartość pierwszej letniej premiery Teatru Osterwy w tym sezonie, a w warstwie wokalnie muzycznej.

W godzinnym przedstawieniu połowę scenicznego czasu stanowił śpiew i muzyka. Gorzowscy aktorzy, nie tylko soliści, ale także wszyscy inni, grający gości zatłoczonej gospody Anzelma, zostali znakomicie przygotowani: do zaśpiewania pierwszej w historii naszego teatru operetki przez sławną korepetytorkę prof. Romanę Krebsównę (współpracowała m.in. z Dejmkiem, Swinarskim, Bardi-

nim, Łonickim, Kutzem, Szurmiejem). Jak już wspomniałem, kilkoro naszych aktorów swój rodowód wywodzi ze Studia im. Danuty Baduszkowej i w Teatrze Muzycznym w Gdyni stawiało swoje pierwsze aktorskie kroki. Obok najstarszego z nich, Krzysztofa Kolby, także Artur Nełkowski i Joanna Rossa. Dobrze przygotowanie wokalne ze szkoły aktorskiej mają najmłodszy – Karolina Miłkowska i Jan Mierzwiński. Także starzy znajomi, Cezary Żołyński, Anna Łaniewska, Edyta Miłczarek, Bogumiła Jędrzejczyk, Beata Chorążykiewicz i Przemysław Kapsa, których nieraz słyszeliśmy śpiewających w spektaklach i recitalach. Niełatwe, czasem wręcz trudne partie solowe i zespołowe śpiewali czysto i słyszalnie, co w nie najlepszej przecież akustyce świeżego powietrza, przy akompaniamentie szczekających z oddali piesków, nie było łatwe. Ale gdy o akompaniamentie już mowa, to słowa uznania należą się doborowemu kwintetowi pod kierunkiem pianisty Marka Zalewskiego (ze skrzypczkami: Iwoną Goździk i Anetą Rajewską, wiolonczelistką Anną Musiał i klarnecistą Mariuszem Nowaczyńskim), który podjął się grać lwowską partyturę Moniuszki na żywo. Dało się miejscami zauważyć walkę muzyków z oporem trudnej materii muzycznej, ale w sumie nie to było w tym przedstawieniu najważniejsze; gdyż uwaga większości wypełnionej po ostatnie miejsca widowni (pomimo mundialowego meczu i koncertu Romane Dyveśa) skupiona była na akcji scenicznej oraz śpiewie i grze aktorów. Scenografia Małgorzaty Treutler, przedstawiająca renesansową ni to fasadę, ni to patio w gospodzie, została po odsłonięciu megapodwojów stanowiących kurtynę nagrodzona megabrawami.

Apetyt rośnie w miarę jedzenia. Repertuar dalszych wieczorów na scenie letniej zapowiada dla każdego coś miłego. Myślę, że gorzowianie skazani na upalne lato w mieście konsumują go ze smakiem.

Ireneusz Krzysztof Szmidt